ŁOWIEC POLSKI



W oczekiwaniu (na Polesiu). Fot. D. Biedrzycki.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

NR. 19 (573). WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ. 10 MAJA 1930 R.

Z anegdot o autorze „Listopada".

Henryk Rzewuski, znany autor „Listopada", był pewnego razu na polowaniu w towarzystwie wielkiego księcia rosyjskiego i dworzan. Obok pewnej zagrody ujrzano świnię, która klęcząc, podkopywała się pod parkan. Jeden z moskali-dworaków odezwał się:

— Ta świnia jest napewno katoliczką.

Na to padła odpowiedź z ust Rzewuskiego:

— Bez wątpienia. Gdyż wszystkie inne, które znałem, były prawosławne.



Rzeka wśród łęgów. Fot. Jan Bończa-Markowski.

OD ADMINISTRACJI.

O NIEPORZĄDKI POCZTOWE.

Bardzo często prenumeratorzy zwracają się do nas z zażaleniami z powodu nieotrzymania numerów „Łowca Polskiego".

Okazuje się, że nie jest to sprawa wyłącznie nasza, lecz bolączka ogólna, którą nawet uważano za właściwe poruszyć na posiedzeniu Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w dniu 5 kwietnia roku bieżącego.

W sprawozdaniu z tego posiedzenia, wydrukowanem w „Łowcu" czytamy: Wprowadzona we Lwowskiej Dyr. pocztowej od 1 stycznia b. r. wysyłka tych pism na podstawie t. zw. kart prenumeraty, daje dla pism tych rezultaty wprost katastrofalne, a losowi takiemu ulega też i nasz „Łowiec". Po każdej ekspedycji wraca do biura naszego kilkadziesiąt egzemplarzy potarganych, pociętych lub w niemożliwy sposób poplamionych, z dopiskami, że nia można było tych egzemplarzy doręczyć, administracja nie dostaje jednak nawet żadnej wiadomości, komu te egzemplarze pisma nie zostały doręczone. Stąd pochodzą ciągłe reklamacje i podwójna strata dla Towarzystwa, bo i w zniszczonych egzemplarzach, i w ponownej wysyłce „Łowca" pod opaską, przy opłacaniu pełnego porta. Ani interwencje w tut. Dyrekcji pocztowej, ani korespondencje z poszczególnymi Urzędami pocztowymi nic w tym względzie nie pomagają. W kilku wypadkach Urzędy pocztowe przyznały, że karta prenumeraty gdzieś się zatraciła, a teraz nie wiedzą komu doręczać.

Wydział postanowił w tym względzie, że jeżeli te stosunki się nie zmienią, to będzie zmuszonym na Walnem Zgromadzeniu zawnioskować podniesienie wkładki o kwotę 2.40 zł. rocznie, tak, by każdemu członkowi przesyłać „Łowca" pod opaską, przy opłaceniu pełnego porta 10 gr."

Jednocześnie pismo to wydrukowało na czele numeru co następuje:

„Wprowadzona od 1 stycznia b. r. przez Zarząd pocztowy wysyłka pism perjodycznych za t. zw. kartami prenumeraty powoduje ciągłe reklamacje „Łowca" w naszej administracji. Dla zaoszczędzenia straty czasu i kosztów tak naszemu biuru, jak i naszym Odbiorcom, prosimy Ich usilnie, by przed reklamowaniem „Łowca" u nas, upominali się energicznie o niedoręczone im egzemplarze pisma w odnośnych Urzędach pocztowych, a to zawsze po 1-ym i 15-ym każdego miesiąca, gdyż w dniach tych regularnie „Łowca" wszystkim Członkom Towarzystwa i Prenumeratorom rozsyłamy".

Niedomagania pocztowe w Małopolsce ujawniły się również i w dostarczaniu „Łowca Polskiego". Jakkolwiek nie wątpimy, że obecna procedura długo się nie utrzyma, niemniej chaos pocztowy jest, i dlatego prosimy Sz. Prenumeratorów o monitowanie przedewszystkiem najbliższego Urzędu Pocztowego.

Od siebie musimy wyjaśnić, że ekspedycja pocztowa, t. zw. ryczałtowa odbywa się w ten sposób, że

każda stacja otrzymuje zaprenumerowaną ilość egzemplarzy. Niedoręczenie przeto numeru stanowi wyłącznie winę poczty.

Wobec tego zaś, że pozatem musimy od stycznia r. b. płacić dwa razy wyższą niż w r. z., cenę pocztową za ekspedycję, — zmuszeni jesteśmy uprz. prosić PP. Prenumeratorów, aby **w razie żądania od nas powtórnego wysłania numeru, zechcieli załączyć znaczki pocztowe za 25 gr.**, co stanowi zaledwie ¼ część ceny numeru.

Podobnież **za zmianę adresu**, pociągającą za sobą znaczny wydatek, prosimy o znaczki za 50 gr.

WYPRAWA NA NIEDŹWIEDZIA.

W pogodny i słoneczny dzień, w drugiej połowie października 188.... roku, siedząc przy rannej kawie, spoglądałem w okno, zamyśliwszy się, czy iść dziś w pole z psem na kuropatwy i przepiórki, czy też wybrać się do pobliskiego stawu na kaczki. Wtem przed gankiem ujrzałem konnego posłańca, który wręczył list służącemu. Poznałem konia i chłopca swego najbliższego sąsiada i sądziłem, że pewnie sąsiad udaje się z prośbą o pożyczkę kopaczki lub owsa na obróbki. Treść listu ułożonego jak depesza telegraficzna, była następująca: „Niedźwiedź w gawrze otropiony. Wyjeżdżamy jutro rano do Sambora. W imieniu swego brata zapraszam na tę wyprawę, sądzę, że nie odmówisz swego udziału" i t. d.

Byłem zapalonym myśliwym od urodzenia, „łasym" na wszelką zwierzynę. Chociaż miałem w tym czasie zaproszenie na polowanie na lwy i słonie, od kolegów moich osiadłych w Afryce, to jednak w kraju do tej pory na niedźwiedzia nikt mnie nie prosił, podziękowałem więc, wielce uradowany, swemu sąsiadowi za pamięć o mnie i powiadomiłem, że rano na oznaczony czas stawię się na stacji kolejowej.

O łowach na niedźwiedzia miałem tylko teoretyczne pojęcie, nabyte z książek. Nawet nie znałem osobiście myśliwego, któryby brał udział w tem polowaniu. Czytałem nieraz, że w Polsce niedźwiedź, spotkawszy się z myśliwym, ma zwyczaj wspinać się na tylne łapy, co widać odziedziczył od swych przodków kształconych w akademji w Smorgoniach. Niedźwiedzie bowiem w innych krajach, jak to z opisów polowań na nie mogłem wywnioskować, kunsztu tego nie objawiają. Również było mi wiadome, że w Petersburgu można za stosowną opłatą, w pewnem biurze dostać bilet na ubicie niedźwiedzia leżącego w śnie zimowym, w lasach gubernji Ołonieckiej. Nabywca takiego biletu dostawał równocześnie zlecenie do naczelnika odnośnej stacji kolejowej, w której obrębie niedźwiedź przebywał,—aby ułatwił myśliwemu dojazd i wskazał tego, który doprowadzić ma go do miejsca, gdzie niedźwiedź leży uśpiony. Jeżeli polowanie powiedzie się, myśliwy płaci tropiącemu za skórę ubitego niedźwiedzia, stosownie do jej wartości. W razie gdyby wskazanego niedźwiedzia nie było, biuro w Petersburgu, na telegraficzną reklamację naczelnika stacji, przysyła telegramem pozwolenie na ubicie niedźwiedzia w innym rewirze. Za chybionego niedźwiedzia ruszonego z gawry, biuro nie zwraca ceny biletu. Zabawną dykteryjkę na tle tego rodzaju polowań na niedźwiedzia, miałem sposobność usłyszeć: Pewien petersburski radca, chcąc się popisać przed gronem kolegów swoją odwagą i celnością strzałów, zaprosił całe towarzystwo na



„Każdy zajęty jest swemi sprawami". Fot. J. Domaniewski.
Do art. „Żółta karczma".

taką wyprawę do gubernji Ołonieckiej. Całe towarzystwo, po przybyciu na miejsce, ulokowało się u miejscowego popa, zabawiając się wesoło kartami i wódką, przywiezioną przez gospodarza. Radca, który nie był pewny swego strzału i nie miał odwagi spotkać się z krwiożerczym misiem, wolał załatwić to spotkanie bez narażenia się na niebezpieczeństwo. W tym celu polecił tropicielowi w przeddzień polowania zabić niedźwiedzia i zostawić go w gawrze, mając wtedy pewność, że tak przygotowany niedźwiedź nie będzie niebezpieczny i każdy strzał będzie celny. „Skazano, — sdiełano", — jak mówią rosjanie.

Tropiciel wynagrodzony suto, zabił celnym strzałem niedźwiedzia, leżącego pod wykrotem i wrócił do domu. Przypadek jednak zdarzył, że w bliskości gawry siedział na drzewie pewien kłusownik, czatując na lisa. Gdy tropiciel odszedł do domu, kłusownik zlazł z drzewa, a ucieszony niezwykłą gratką, zdjął pośpiesznie skórę z zabitego niedźwiedzia i oddalił się do wsi. Rano na drugi dzień, całe towarzystwo wyjechało na polowanie. Gdy się zbliżyli do miejsca, w którem spał niedźwiedź, radca pewny siebie wyszedł naprzód z przewodnikiem, pozostawiając towarzyszy w odwodzie na wypadek, gdyby zwierz raniony chciał uchodzić lub zaatakować myśliwego. Stanęli wszyscy w pogotowiu z bronią, oczekując w naprężeniu strzału. Widząc jednak, że po strzale niedźwiedź nie wychodzi, byli pewni, że zabity. Radosne hurra rozległo się po kniei. Wszyscy biegli do radcy, gratulując mu odwagi i celnego strzału. Gdy jednak przekonano się niebawem, że niedźwiedź, kładąc się spać, zdjął futro, które mu ktoś ukradł, kpinom i żartom nie było końca. Niemniej zgryziony był i tropiciel, który w nocy kupił od karczmarza skórę, sprzedaną temuż przez kłusownika, sądząc, że zrobił dobry interes, tymczasm przekonał się, że kupił skórę za swego niedźwiedzia!

Słyszałem i czytałem jednak i mniej zabawne opisy polowań na tego króla północnych borów, jak to raniony rzuca się na myśliwego, jak go obejmuje i ściska tak, że mu trzeszczą wszystkie żebra, jak doganiając po strzałach nieudałych, zatrzymuje go, ściągając mu z czaszki całą czupryne ze skórą, jak pastwi się nad pokonanym człowiekiem, rwąc w kawałki paszczą i pazurami jego ciało, rzucając je na pobliskie krzaki i gałęzie. Te groźne opisy odbierały mi potrosze animuszu i studziły myśliwski zapał.

Mimo to wkrótce byłem gotów do drogi.

Na stacji kolejowej zjechałem się z całą wyprawą na niedźwiedzia, składającą się z trzech mężczyzn i trzech pań.

Podróż pociągiem, trwająca kilka godzin, upłynęła nam na wesołej pogawędce i nawet nie spostrzegliśmy się, kiedy stanęliśmy w Samborze, skąd jeszcze mieliśmy przebyć drogę końmi, na przestrzeni zwyż osiemdziesięciu kilometrów.

W Samborze w owym czasie nie było jeszcze hoteli, były tak zwane „zajazdy", coś w rodzaju stajni wraz z pomieszkaniami dla gości, które bezpośrednio łączyły się ze stanowiskami dla koni.

Taki zajazd miał również i restaurację, kawiarnię i salę bilardową.

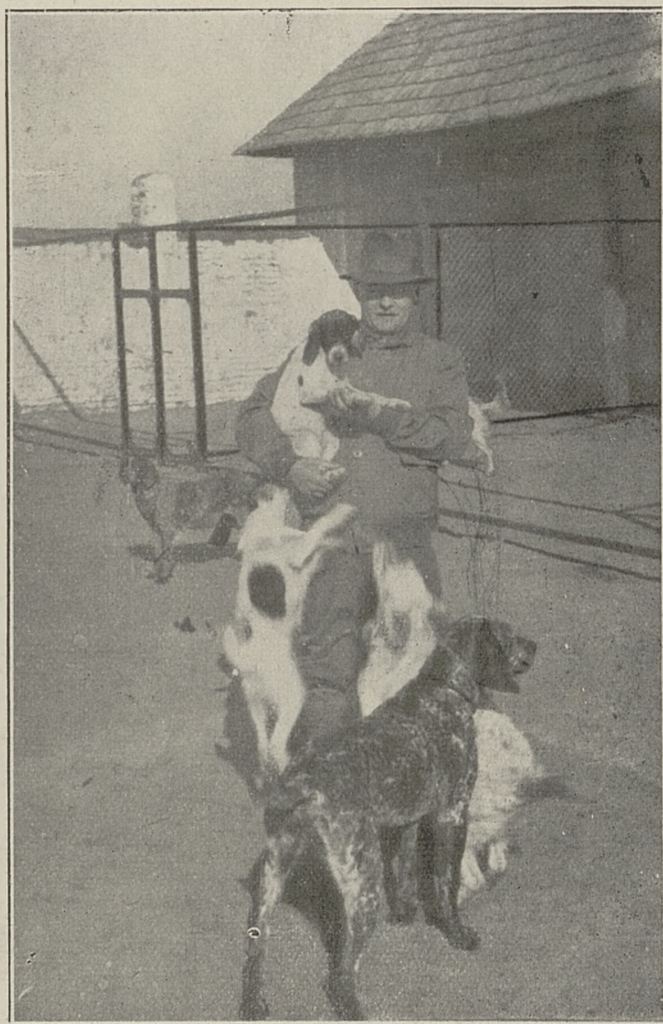
Wszystko pod wspólnym dachem i wspólną sienią, do której zajeżdżało się z końmi. — Hałas trwał tu całą noc i dzień. Turkot bryk i powozów wjeżdżających do sieni, tupot koni o podłogę, krzyki i nawoływania woźniców, stukania bezustanne bramą i drzwiami, mieszało się z muzyką w kawiarni i trzaskiem kul na bilardach. — W tym bezustannym harmidrze gość musiał zasypiać w atmosferze zapachów stajni, kuchni, szynku i innych nieskanalizowanych lokali, umieszczonych w pobliżu.

O czystości pościeli, podłogi i potrzebnych przyborów w numerach zajazdu, niema co wspominać. Wyboru jednak nie było i jeszcze każdy z podróżnych czuł się szczęśliwym, jeżeli w takim pierwszorzędnym zajeździe znalazł pomieszczenie, bo były jeszcze stokroć gorsze od opisanego.

Po spędzonej, prawie bezsennej nocy w zajeździe wczas rano ruszyliśmy w dalszą drogę najętemi dorożkami.

Z hukiem, trzaskiem i dzwonieniem wjechały dwa obdarte i brudne powozy do sieni zajazdu. — Na oko konie przy powozach dość dobrze się prezentowały i można było sądzić, że przejazd tych pięćdziesięciu kilometrów drogi, którą w tym dniu mieliśmy odbyć, nie potrwa zbyt długo.

Na kozłach siedziało dwóch żydków z rudemi, kłaczastemi brodami, w niechlujnych, podartych burkach. Prawdziwy typ żydowskich „bałagułów".



Benjaminek. P. H. Knothe ze swą 3-miesięczną Lady.
Do art. „Żółta karczma".

Fot. J. Domaniewski.

Po usadowieniu się naszem w powozach, bałaguły ruszyli z kopyta, wiokając na konie i klaskając z batów.

Przez miasto jechaliśmy tęgim kłusem. Zdziwieni tą kawalerską jazdą przechodnie, stawali na chodnikach i przypatrywali się nam, bijąc się z myślami, dokąd tak pędzimy i gdzie się nam tak śpieszy.

Lecz jazda taka nie trwała długo.

Minąwszy ostatni dom w mieście, konie zwolniły biegu i od tej pory całą drogę wlokły się, jak z mazią.

Bałaguły daremnie pobudzali je do biegu, szarpiąc lejcami, bijąc batem i wiokając na różne głosy i tony. W końcu dali za wygranę i zaczęli drzemać na kozłach, tak, że nieraz zachodziła obawa, by nie spadli pod koła. Aby temu zapobiec, dawaliśmy im papierosy, gdyż paląc je, nie mogli zasypiać. Ale i nam po źle przespanej nocy, sen kleił powieki. Zaniechaliśmy prowadzonej rozmowy, drzemało całe nasze towarzystwo, kiwając zabawnie głowami na wszystkie strony. Dzień był chmurny, ponury i zanosiło się na słotę.

Koło południa dojechaliśmy do jakiejś samotnej, dużej, drewnianej karczmy, gdzie furmani stanęli na parogodzinny popas.

Ponieważ mżyło i chłodno było na dworze, weszliśmy do środka karczmy, aby posilić się zabranymi z domu zapasami. W wielkiej izbie szynkowej w jednym kącie stał rodzaj drewnianego kojca, w którym mieścił się żyd-szynkarz, wydając stąd wódkę zebranym w karczmie chłopom. Na kominie gorzał niewielki ogień, otoczony wokoło bojkami, którzy zapiekali swe długie, gliniane fajki na krótkich, drewnianych cybuszkach w żarze ogniska. Kładąc tytoń do fajek, pluli w nie, i gdy fajka była pełna, wsuwali ją do żaru. Fajki skwierczały przypiekane, a gdy tytoń należycie się wysmażył, zapalali go, kładąc do środka węgielki.

Gdy z tak preparowanej fajki pociągnął bojko dym, słaniał się jak pijany, i błędnym wzrokiem wodził dookoła, jak nieprzytomny. W izbie było pełno dymu i różnego rodzaju zapachów. Znieść tego nie byliśmy w stanie i musieliśmy uciekać do powozów stojących przed karczmą. Kiedy konie zjadły obroki i zostały napojone, ruszyliśmy w dalszą drogę.

(Dok. nast.)

ŻÓŁTA KARCZMA.

Będąc w połowie marca w Warszawie, skorzystałem z uprzejmego zaproszenia pana prezesa Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich, mecenasa Garczyńskiego, by zwiedzić psiarnię tego Towarzystwa, mieszczącą się w tak zwanej „Żółtej Karczmie" pod Warszawą.

Wyjeżdżamy samochodem i w kilkanaście minut jesteśmy już na miejscu. Budynek, w którym mieści się psiarnia, przedstawia się okazale, jakkolwiek nawiasem mówiąc, wymaga koniecznie odnowienia. Położony jest doskonale, bo na wzgórzu nad szkarpą, co zabezpiecza zupełnie jego lokatorów przed wilgocią.

Wchodzimy do umeblowanej bez pretensji, ale bardzo schludnej i miłej kancelarji, gdzie można chwilę odpocząć, przebrać się, gdzie też, jak to widać na pierwszy rzut oka, odbywają się konsultacje psów.

Honory domu czynią p. przezes Garczyński, oraz członkowie zarządu p. Herman Knothe i p. dr. Bielawski.

Dowiaduję się z uprzejmych i przesiąkniętych zapałem i wiarą w dalszy, świetny rozwój instytucji, objaśnień, że psiarnia została otwarta 1 listopada. Początkowo myśliwi, trzymający psy w Warszawie, a więc bezpośrednio zainteresowani w powstaniu takiej instytucji, patrzyli, jak to u nas zwykle bywa, dość krytycznie na tę nową imprezę; dużo było między nimi takich, którzy zupełnie nie wierzyli w możliwość jej utrzymania się. Na razie więc „Żółta Karczma" miała niewielu lokatorów. Jednak już po kilku miesiącach wszelkie wątpliwości zostały rozwiane i dzisiaj w psiarni jest już 30 stale pomieszczonych psów.

Po udzieleniu mi tych oraz wielu innych informacyj, których powtarzać tu nie będę, były bowiem podane w numerze 7 „Łowca Polskiego" z roku bieżącego, prowadzą mnie gościnni gospodarze do swych pupilów.

Na czystem, ogrodzonem wysokim murem podwórcu, opada nas przemiła gromada pointrów, setterów i niemców. Uciecha psów z powodu odwiedzin panów, naturalnie niesłychana. A więc wesołe naszczekiwania, piski, skomlenia, skakanie do rąk i twarzy. Jednem słowem wszelkie możliwe objawy radosnego powitania.

Ruch i wrzawa. Niemożliwe jest poprostu skupienie uwagi na jednym psie, bo ledwie zacznie się mu człowiek przyglądać, a już ginie on w czeredzie swych towarzyszy. Zresztą tyle jest pięknych okazów, że niewiadomo, któremu poświęcić więcej uwagi. Nastrój przemiły.



Do art. „Żółta karczma".
Panna Zofja Knothe z Toffi (ostr. fokst.) na rękach.
Fot. J. Domaniewski.

Opiekę bezpośrednią nad psami ma dwóch psiarczyków, którzy, jak to widać z wyglądu i nastroju ich pupilów, wywiązują się ze swego zadania doskonale.

Racjonalne odżywianie, stała opieka lekarska i trenerska, świeże, doskonałe powietrze, wreszcie możność wyładowania energji na stałych spacerach, stwarzają tu dla psów poprostu idealne warunki bytowania.

Dla właścicieli zaś psów, którzy mieszkają w Warszawie, psiarnia ta jest prawdziwem dobrodziejstwem. Bo proszę pomyśleć: przy tak znakomitych warunkach, w jakich się ma psa, można go mieć na każde zawołanie, a odwiedzenie go, nawet jeśli się korzysta z komunikacji tramwajowej, nie zajmie więcej jak godzinę czasu.

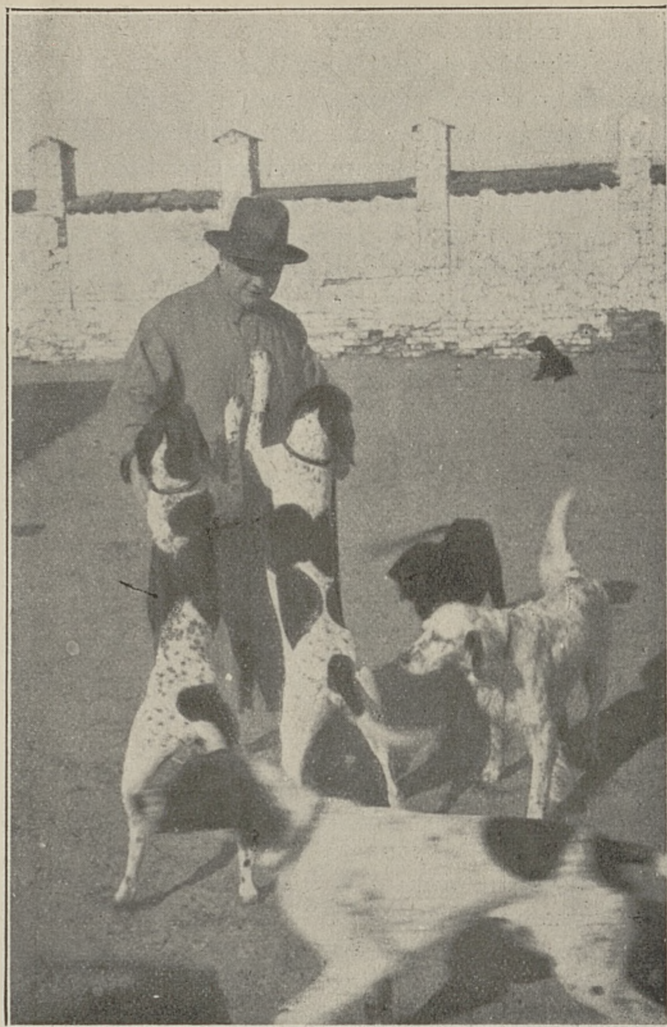
By to należycie ocenić, trzeba mieć doświadczenie w trzymaniu psa w wielkiem mieście. Niezliczone kłopoty, ciągła obawa kradzieży lub zabłąkania, wreszcie niehygieniczne warunki miejskiego życia, w których pies zmuszony jest przebywać, psują całkowicie przyjemność trzymania psa stale przy sobie. Z psa zaś myśliwskiego powoli zaczyna się robić pies pokojowy.

Bezpośrednio koło psiarni zaczynają się tereny łowieckie T. H. P. M., wynajęte naturalnie nie dla polowania, lecz dlatego tylko, by psy zamieszkujące „Żółtą Karczmę", miały odpowiednie pole do treningu. Dodam, że układanie psów zupełnie surowych wchodzi w zakres działalności „Żółtej Karczmy", a jeden z psiarczyków jako trener, zasługuje na pełne uznanie, o czem miałem sposobność naocznie się przekonać.

Obejrzawszy boksy i nacieszywszy się towarzystwem tak licznem i doborowem, udajemy się w pole, gdzie p. dr. Bielawski prezentuje nam kolejno pracę poszczególnych pensjonarzy. Te, które widziałem, pracowały bez zarzutu.

Wracam do Warszawy zachwycony. I doprawdy nie można znaleźć dość gorących słów uznania dla energji zarządu T. H. P. M., że to, tak pożyteczne dzieło potrafił zrealizować, dając mu organizację bez zarzutu i już w założeniu stwarzając możność jaknajszerszego rozwoju.

Na zakończenie nadmienię, że w najbliższym czasie projektowane są w „Żółtej Karczmie" dalsze inwestycje, a między innemi ogrodzenie pewnej przestrzeni dokoła psiarni, na której będą mogły psy stale



Do art. „Żółta karczma". — Przywitanie prezesa T. H. P. M.
Fot. J. Domaniewski.

używać ruchu jeszcze w szerszym zakresie, aniżeli dotychczas. Naturalnie większe wkłady w psiarnię staną się racjonalne o tyle tylko, o ile uda się wydzierżawić „Żółtą Karczmę" na dłuższy przeciąg czasu. Pertraktacje w tym kierunku są już prowadzone. Nie należy wątpić, że zarząd dóbr hr. Branickiego, którego budynek jest własnością, pójdzie tu Towarzystwu Hodowli Psów Myśliwskich, o ile możności na rękę.

JANUSZ DOMANIEWSKI.

Żółta Karczma została wydzierżawiona na sześć lat z obietnicą dalszego przedłużenia umowy. Przyp. Red.

FILOZOFJA MYŚLIWSKA MOJEGO Ś. P. WUJA.

Mój wuj — niech mu tam woda będzie ciepła, jako że dwa lata temu utopił się w rozlewiskach Prypeci, polując na kaczory, i pono skutecznie straszy rybaków — nie zapisał mi nic (niech mu tam Pan Bóg tego nie pamięta!). Niewiele na to, coprawda, liczyłem, wuj bowiem uprzyjemniał sobie i tak skądinąd kosztowne starokawalerstwo, jak mógł i umiał, jednak przez dłuższy czas chodziłem nieco oszołomiony i nieswój, niby po operacji wyrostka robaczkowego.

Dręczył mnie problemat, czy istotnie można być tak szatańsko przewidującym, aby na godzinkę przed nagłą i niespodziewaną śmiercią wydać ostatnią złotówkę i uwolnić od wszelkich trosk majątkowych zarówno siebie, jak i swych spadkobierców?

Byłali to posunięta aż w zaświaty lekkomyślność, czy może śmiało zastosowany rachunek prawdopodobieństwa? To też zaciekawił mnie ogromnie wuj po śmierci.

Zacząłem szperać dookoła jego byłej osoby, odrzucając wszelkie legendy i mniej znaczące szczegóły ziemskiego bytowania, jak np. to, że na śniadanie jadał tylko śledzie i pijał tarkówkę, że pozostawił w swej wiosce siedemnaścioro potomstwa, wyłącz-

nie płci męskiej, że korzec grochu brał pod pachę bez wysiłku, że strzelał do zajęcy z konia w pełnym biegu (niewiadomo tylko, czy trafiał) i t. p.

Okazało się, między innemi, że wuj pisywał.

Robił to dorywczo na marginesach książek, w kalendarzach, gospodarskich rejestrach, na bibule, pokrywającej biurko, na pudełkach od gilz, zgranych kartach, wykupionych wekslach. Bóg jeden wie na czem — prócz mankietów, których używał tylko od wielkiego dzwonu.

Poniżej podaję uporządkowane, do pewnego stopnia filozoficzne okruchy, dotyczące li tylko polowania, pozostawiając olbrzymią resztę, potomności myszy i szczurów, jako najskuteczniejszą trutkę.

A więc — „mów do mnie, wuju!"

* * *

Zarówno przed, jak i po polowaniu nie zaszkodzi zobaczyć kolana, aby tylko nie teściowej swojej! Młodych dam należy się wystrzegać w jednym tylko wypadku—mianowicie na polowaniu. Starych zawsze i wszędzie.

Nie strzelaj do kóz, łań i innych klęp przy świadkach, pamiętając, że wogóle stosunki z płcią piękną słono kosztują. W wypadku zabicia kozy, o ile niepodobna zwalić winy na sąsiada, czmychnij w miot i wyleź, udając głupiego, na skrzydło naganki. Czasami to pomaga! (późniejszy, zdaje się, dopisek ołówkiem — mnie pomogło trzy razy).

Wogóle zaś miej odwagę nigdy się nie przyznawać do popełnionej winy. To zawsze osłabia zeznania najbardziej naocznych świadków.

Pozatem stale narzekaj na krótkowzroczność — nigdy ci to nie zaszkodzi!

* * *

Fantazja ludzka jest jedynie wątłem i nierozgarniętem dzieckiem rzeczywistości. W pomysłach nigdy jej nie dorówna.

Łżyj przeto zdrowo i poważnie, nie krępując się i nie powołując na żadnych świadków — nawet na umarłych.

* * *

Unikaj na polowaniu młodzieńców pełnych nadziei, jak i pierników, którzy lekkomyślnie zabrnęli w lata i nie chcą się pozbyć manji łowieckiej. Pierwsi są nieobliczalni, a drudzy ponadto bywają ślepi i często cierpią na rozmiękczenie mózgu. Jest to szkodliwe prawdopodobnie dla nich samych, a już napewno dla ich sąsiadów na stanowisku.

Tylko posiadana broń 14-go kalibru daje ci gwarancję, że sam będziesz używał swych naboi.

Do djabła z tem pożyczaniem! Zresztą agrafek, zapałek i naboi absolutnie nikt nie oddaje!

* * *

W sporze o zająca, zabitego do spółki z sąsiadem, zachowaj się z godnością i milcząco. Jeżeli twój spólnik, tknięty wyrzutami sumienia, sam ci zajączka nie przyaportuje, to napewno będzie cicho siedział, gdy później weźmiesz do swych sanek przez omyłkę o jednego kota więcej.

Swoją zwierzynę znacz dyskretnie, abyś się dowiedział, z kim polujesz.

Nim się wybierzesz na polowanie, dowiedz się dokładnie, kto w niem weźmie udział. Ja osobiście mam uprzedzenie do p.p. aptekarzy, chociaż są to bardzo delikatni, ugrzecznieni i o przyjemnym zapachu ludzie.

* * *

Jeżeli przypadkiem na stanowisku strzeliłeś do swego sąsiada, to nigdy nie poprawiaj doń z lewej lufy, choćby nawet najgłośniej krzyczał i psuł cały efekt łowów. Trzeba być niekiedy wyrozumiałym dla bliźniego swego. Śrutu nie żałuj, — rozsiewaj go, gdzie tylko możesz. Chodzi o to, aby dla naszych prawnuków stworzyć tu i owdzie kopalnie pożytecznego ołowiu.

Ze względów czysto patrjotycznych należy strzelać tylko śrutem zagranicznym.

Pij wódkę przed rozpoczęciem łowów, nie czyń zaś tego, dla zachowania pozorów przyzwoitości, przed ukończeniem łowów. Jeżeli już nie możesz wytrzymać, to pij przynajmniej cudzą.

Pamiętaj, że polowanie jest zdrową rzeczą. Pij sznapsa, jadaj tłusto i poluj, a Pan Bóg zdrowie musi dać! Tak mawiał pewien doświadczony leśniczy, który wprawdzie spokojnie dogorywa na łożu boleści, ale za to ma do wyboru: artretyzm, reumatyzm, ischias, lekki paraliż postępowy, astmę, zapalenie nerek, kiszek i bezwzględny wodowstręt — jednakże bez objawów szału. Tak... polowanie jest piękną rzeczą!"

— — — — — — — — — —

Tyle w spadku zostawił mi wuj, niech mu tam mętne wody Prypeci będą ciepłe...

Zamość.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

NA PIERWSZEM TOKOWISKU.

Dokończenie (Zob. Nr. 18).

Woźnica zlazł, przeszedł tam i siam, lecz po chwili wrócił i zadecydował, że jechać dalej nie można i że musimy przepędzić tu — całą noc. Zrobiło mi się markotno. Żyłem jeszcze w tych czasach, w których babki opowiadały nam o strachach widzianych naocznie. Matki nasze nie widziały już strachów, ale wierzyły w nie, myśmy już zaczynali powątpiewać, lecz jeszcze na dnie duszy krył się lęk przed nimi, który przy sprzyjających okolicznościach łatwo mógł się przemienić w strach, niczem nie dający się pohamować. Gdy pomyślałem o tem, że może niespełna o godzinę drogi jestem od tych, którzy czekają mego przyjazdu, siedząc w widnym pokoju przy stole, zastawionym sutą wieczerzą, gdzie samowar szypi, na bocznym stoliku, — zrobiło mi się ckliwo i uczułem teraz głód i pragnienie. Dziś był Wielki Piątek, to też w miasteczku, gdzie popasałem, prócz kiepskiego barszczu i słonego śledzia, nic więcej nie jadłem.

Z upragnieniem przeto oczekiwałem końca podróży i możności wypicia paru szklanek gorącej herbaty. A tu naraz, — przez tego gamonia furmana i przez jego tatarskie sobaki, wszystko licho wzięło. Siedź bratku na bagnie i giń na tem bezludziu.

Temi niewesołemi myślami zajęty, siedziałem zadumany, gdy wtem w ciemności otaczającej nas, ujrzałem w niewielkiem oddaleniu światło, jakby gorejącej latarki, którą ktoś szybko niósł nisko nad ziemią. Zdumiony patrzałem na to, nie mogąc w pierwszej chwili zrozumieć, skąd się to światło raptem tu zjawiło. Posłyszałem równocześnie, że woźnica wymawia głośno znaki świętego krzyża i trzykrotnie, „Hospodi pomiłuj". To mię zupełnie wyprowadziło z równowagi. Uczułem strach, który wstrząsł mną, jak galaretą z cielęcych nóżek. Gdyby nie to, że miałem włosy krótko strzyżone, pewnie by mi czapka zleciała z głowy. Nadomiar złego, w pobliskim lesie rozległo się donośne kwilenie sowy, przechodzące chwilami w jakiś piekielny, szyderczy drogę. Chłop musiał zrobić taką minę, jak by go ktoś znienacka zamalował po twarzy. Tego jednak nie mogłem widzieć z powodu ciemności. Dłuższy czas nie dawał odpowiedzi, w końcu rzekł niepewnym głosem: Paniczu, dajcie spokój takiej mowie, to przecież „On" („win") świeci nam i chce nas zaprowadzić na bezdnie, gdzie już niejednego w ten sposób utopił. My zbłądzili, co już nam czajki mówiły, my teraz zajechali na „Czarcie bagno". Chociaż przed chwilą tłomaczyłem sobie w racjonalny sposób widziane zjawisko, to jednak znów strach powracał. Światło ukazało się po raz drugi przed nami i teraz szło w przeciwną stronę, czego nie mogłem sobie wytłomaczyć. Wprawdzie wiatru nie było, ale dlaczego błędne ogniki suną raz w tę, to znów w inną stronę, było mi dziwnem. Po pewnym czasie doszło do naszych uszu przeciągłe wycie. Nie było to wycie psa, lecz dziwnie smętne i przejmujące trwogą, wycie wilka. Tym razem nietylko nam, lecz i koniom strach zajrzał w oczy, — jęły się kręcić, tupać nogami



Z toków w Karpatach. Fot. Małaczyński

śmiech. Tego było już za wiele na moje, strachem wstrząśnięte nerwy. Wszystkie bajki o strachach, wiłkołakach, upiorach i djabłach, któremi od dzieciństwa nas karmiono, przypomniały mi się teraz i jęły w mym mózgu wyprawiać piekielne tańce. Chłop na głos modlił się po rusku, bił się kułakiem w piersi i po sto razy wymawiał głośno swoje „Hospodi pomiłuj". Światło wkrótce zagasło i sowa ucichła. Wtedy przyszło na mnie opamiętanie. O błędnych ognikach wiedziałem, że są to gazy błotne, zapalające się w zetknięciu z powietrzem, a krzyk sowy słyszałem już nieraz, więc czego się bać miałem. Teraz wstydziłem się sam przed sobą, że dałem się unieść takim śmiesznym strachom, i aby wynagrodzić chwilową słabość ducha, której uległem, postanowiłem zażartować z chłopa, którego strach miał głębsze przyczyny, leżące w nieświadomości zjawiska, jakie przed chwilą przesunęło się przed jego wzrokiem. Zatem spytałem go z całą udaną naiwnością, czemu nie jedzie za światłem, które ktoś wskazuje nam i parskać nozdrzami. Grożące nam niebezpieczeństwo przyjęło realne kształty, już nie groziły nam duchy, ale wilcze zęby. Broń miałem rozebraną i zapakowaną, lecz na szczęście miałem całe pudełko, tak zwanych wtedy „siarników", które były w powszechnem użyciu. Zapalić ogień, a wtedy i wilk i djabeł będzie miał przed nami należyty respekt. Wykonanie tej zbawiennej myśli było jednak niełatwe, a nawet w tych warunkach wprost niemożliwe. Byliśmy wprawdzie blisko lasu, ale kto w tę ciemną noc potrafi wyszukać suchych gałęzi na paliwo. Ani woźnica, ani ja, po tem co zaszło, nie mieliśmy ochoty iść teraz do ciemnego boru. Siedzieliśmy wciąż dalej w ciemnościach i ciszy, nasłuchując głosów, jakie od czasu do czasu, dochodziły do naszych uszów. Bąk „Hupało" buczał w pobliskiem bagnie, odpowiadał mu puhacz z boru. Czajki zakwiliły niekiedy żałośnie, a sowa leśna płakała i łkała, lub śmiała się spazmatycznym, przenikliwym śmiechem. Wilki przestały wyć, wyły bowiem tylko krótko, wy-

chodząc na nocne łowy ze swych legowisk. Wtem od strony lasu doszło mych uszów naszczekiwanie psa. Woźnica również je usłyszał. Zrobiło nam się raźniej na duchu, bo gdzie szczeka pies, tam w bliskości musi się znajdować ludzka istota, tak nam tu potrzebna na tem bezludziu. Nie namyślając się długo, zacząłem co sił wołać „Hop, hop. Chodźcie tu na pomoc". Na moje wołanie, odezwał się głos ludzki „Hop, hop". Po kilkakrotnem jeszcze wołaniu i odpowiedzi, zjawił się przed nami, wysokiej postaci chłop z fuzją i borsuczą torbą, zawieszoną prze ramię. Na rękawie miał na opasce umocowaną, mosiężną blachę z orłem, oznaką zaprzysięgłego dozorcy lasów. Byliśmy niespodziewanie ocaleni i uwolnieni od noclegu na „Czarciem bagnie". Do mieszkania gajowego nie było stąd daleko, w niespełna pół godziny znaleźliśmy się na obejściu gajówki. Gajowy radził nam zanocować. Drogi stąd wprost do naszego domu nie było. Była tylko ścieżka leśna, po której w godzinę można było stanąć na miejscu, lecz bez latarki iść nie można, a tej gajowy nie miał. Końmi musiało się objeżdżać naokoło, a w taką ciemną noc nikt by tamtędy nie dojechał. Droga była w nocy nie do przebycia. Nie było więc innej rady, tylko zanocować w gajówce. Lepsze to niż nocleg na „Czarciem bagnie". Umieściwszy konie w stajni, przy których został woźnica, udałem się za gajowym do chaty. Izba była dość obszerna, czysta i sucha. Na kominie gorzał ogień, a przy nim stała wysmukła dziewczyna, w zgrzebnej koszuli, przepasanej wełnianym, czerwonym pasem. Włosy jej płowe spadały w splecionych, grubych warkoczach na piersi, ozdobione dwoma ostro z pod koszuli, uwydatniającymi się pączkami. Twarz dziewczęcia, o regularnych, delikatnych rysach, miała smagłą cerę cyganki. Całość tej postaci była dziwnie smętną i uroczą. Płomienie ogniska gorejącego na trzonie rzucały krwawe blaski, w których sploty włosów dziewczyny lśniły metalicznym połyskiem, a twarz okraszały barwą dojrzewającej wiśni. — Gdy stanąłem w drzwiach izby, dziewczyna wpatrzyła się we mnie przestraszonym i zdziwionym wzrokiem, lecz po chwili, jej czarne oczy błysnęły przyjaznem spojrzeniem, które skojarzyło się z mojem. Wymiana tych spojrzeń, trwająca jedno mgnienie oka, wystarczała do wysnucia delikatnej nici, łączącej młode serca.

Gajowy polecił Maruni, swej jedynej córce, by dla mnie sprażyła garnuszek mleka i przygotowała posłanie w świetlicy, po drugiej stronie sieni. — Zawiązałem rozmowę z gajowym, bardzo sympatycznym chłopem, który w tej, najdalej od wsi położonej gajówce, w centrum stykających się, wielkich lasów, żył tu jak pustelnik. Żyli tylko we dwoje z córką dłuższe lata, bo matka Maruni dawno umarła. Do wsi odległej o milę, wychodzili raz na parę tygodni. Nikt tu do nich nie zaglądał. W rewirach podległych gajowemu, nie było zrębów. Majątek ten należał do pewnej hrabiny, mieszkającej stale zagranicą. Polowano w lasach raz do roku. Wtedy na leśniczówkę zjeżdżali z pełnomocnikiem hrabiny zaproszeni goście. Stary leśniczy, sam nigdy nie polował. W lasach była moc wszelkiej zwierzyny, i wywodziły się co roku wilki. Obecnie też jest ich trzy, i co wieczór, kiedy wychodzą z „Czarciego bagna", gdzie mają legowisko, wyją i głosy ich słychać w gajówce. Od tygodnia gajowy chodzi na zasiadkę, bo i ze strony starostwa i od głównego zarządu wyznaczono nagrodę dla gajowych za ubicie wilka. Próżno jednak na nie zasiada, wilki zawsze wychodzą inną ścieżką z bagien, niż tą, przy której czuwa myśliwy. Zwróciłem mu na to uwagę, że może pies, którega bierze z sobą, jest powodem tego, lecz gajowy twierdził, że pies jego ani zaskomli, ani się nie ruszy, choćby wilk, czy inny zwierz przyszedł do nich na parę kroków. Gajowy zaproponował mi, że jeżeli sobie życzę, to jutro do dnia mogę z nim iść na tokowisko cietrzewi, na które codzień chodzi i za każdym razem przynosi koguta. Na polanie tokuje kilkanaście kogutów. Budki są gotowe. Niezmiernie ucieszyła mię ta wiadomość, bo właśnie jadąc tu, marzyłem o tem, by zapolować na tokowisku. Nie polowałem jeszcze ani razu na cietrzewie i nie miałem dobrego pojęcia, jak to polowanie w rzeczywistości wygląda. Teraz pod wodzą doświadczonego myśliwego, będę mógł zaznajomić się dokładnie z tym rodzajem łowów.

Po skromnej wieczerzy, składającej się z garnuszka gorącego mleka i kawałka razowca, złożyłem swoją dubeltówkę, nabijając obie lufy prochem i śrutem, nie zakładając jednak kabzli, by uniknąć wypadku. Marunia przygotowała tymczasem w świetlicy na świeżem, wonnem sianie nakrytem barwną weretą, posłanie, na zsuniętych, dwuch szerokich ławach. Odprowadzając mię z zapalonem łuczywem, na drugą stronę sieni, Marunia nie podniosła powiek nad oczami, zakrytemi firanką czarnych, bujnych rzęs. Była strwożona jak łania w wilczej gromadzie. Napół rozebrany, rzuciłem się śpiesznie na posłanie i nakrywszy burką, zasnąłem, marząc o pięknej dziewczynie i cietrzewiach. Nad ranem zbudziło mię stukanie do drzwi mej sypialni.

Zerwałem się na równe nogi, lecz dłuższy czas nie mogłem sobie zdać sprawy, gdzie jestem. Dopiero głos gajowego uprzytomnił mię i przypomniał, że mam iść z nim na toki. W izbie było jeszcze zupełnie ciemno. Otworzyłem drzwi i gajowy wszedł z zapalonem łuczywem, przy którego blasku ubrałem się pośpiesznie. Gdyśmy wyszli z chaty, zaledwie na wschodzie można było rozpoznać, że już zaczyna świtać. Niewiele gwiazd migotało jeszcze bladem światłem, reszta już pogasła. Cisza, niczem nie zamącona, zalegała dokoła. Las spał .Na błotach i łąkach stały się białe kobierce przyziemnej mgły. Lekki przymrozek pokrył szronem suche ścierniska sianożęci. W niespełna dziesięć minut dostaliśmy się ścieżką przez las, na wielką sianożęć, otoczoną dokoła starym lasem. Kilkasetletnie dęby stały pojedyńczo na tej łące, jako świadkowie, że i tu przed wiekami, las okrywał ziemię. Gajowy wskazał mi budkę, zrobioną z sosnowych gałęzi, w której miałem oczekiwać na cietrzewie. Wsunąłem się tam i usiadłem na wiązce szuwaru, przygotowanego w tym celu. Na wschodniej stronie nieba błyszczała jeszcze słabym blaskiem, zaledwie dostrzegalna gwiazda Wenus, reszta gwiazd przygasła. Świt podnosił się zwolna, — jeszcze cichy, — senny i omdlały. Zaledwie na parę kroków przed sobą, można było rozróżnić, sterczące na łące pniaki i wznoszące się kretowiny. Kiedy zacząłem przyglądać się im baczniej, nabierały kształtów cie-

trzewi i zdawało mi się, że poruszają się, przybierając coraz inne pozy. Chwilami złudzenie było tak silne, że o mało co nie pociągnąłem za cyngiel, by kropnąć do olchowego pniaka, przy którym sterczała gałązka łudząco naśladująca szyję, głowę i dziób ptaka. Powstrzymałem się jednak w porę. Niebacznym strzałem zepsułbym całe polowanie. Naraz zafurczało w powietrzu i raptem na jakie trzydzieści kroków przedemną, wyrósł jak z pod ziemi, wspaniały kogut. Wstrzymałem oddech. Czekałem, kiedy rozpocznie swój miłosny taniec. Ptak wyciągnął w górę głowę, stanął prosto na nogach, chwilę nasłuchywał bacznie i spoglądał ciekawie naokoło. Gdy spostrzegł, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi, opuścił raptem rozstawione na bok skrzydła, — rozchylił lirowaty ogon, — zgiął poziomo szyję — i prująć lotkami po ziemi, podskoczył naprzód i zaterkotał. W tej chwili, zmierzywszy do ptaka, pociągnąłem za cyngiel. Huknął strzał jakby z armaty. Równocześnie prawie, w drugim końcu łąki odezwał się jak echo, huk strzału, który dał gajowy. Z łąki poderwały się tokujące koguty i uleciały w las na drzewa. Gdy dym się rozszedł, — ujrzałem leżącego na ziemi cietrzewia, z rozpostartemi płasko skrzydłami i wyciągniętą szyją. Ptak był już całkiem martwy i nie ruszał się więcej.

Często się zdarza, gdzie jest wiele cietrzewi, że w to samo miejsce zlatuje dwa lub nawet więcej kogutów, i jeżeli się przeczeka, to tokujące cietrzewie zbliżą się do siebie i zaczną walczyć. Wtedy jednym lub dwoma po sobie następującymi strzałami, można ubić dwa, a nawet trzy koguty. Gajowy wkrótce nadszedł, ubił również jednego. Żwawo ruszyliśmy do domu, bo przez czas siedzenia nieruchomo, zziębliśmy porządnie. W chacie buzował tęgi ogień na trzonie, i Marunia prażąc dla mnie mleko, uwijała się przy nim. Stanąłem blisko koło ognia, by rozgrzać się przy nim, ale to było zbyteczne, bo sam widok i bliskość uroczej dziewczyny zastąpić mógł największy płomień.

Ponieważ ścieżką przez las potrzebowałem iść tylko godzinę, by dostać się do dworu, a końmi naokoło objeżdżać należało ze dwie godziny, postanowiłem iść pieszo. Gajowy miał mię odprowadzić i pokazać drogę. W tym roku ciąg słonek miał być bardzo obfity, i gajowy obiecał pokazać mi najlepsze stanowisko na ciągu tych długodziobów. Zachęcał mię, bym co wieczora tu przychodził. Naturalnie, z przyjemnością przyjąłem tę propozycję i obiecałem, że będę korzystał i odwiedzę go, przy tej sposobności w jego chacie. Ponieważ gospodarz nie chciał przyjąć zapłaty za mleko, chleb i siano, postanowiłem uiścić się z długu, stosownym prezentem dla Maruni, a ojcu wręczyłem tymczasem paczkę tytoniu, którą na szczęście miałem z sobą.

Pożegnałem się z Marunią bez świadków i obiecałem jej, że pewnego dnia po świętach, przyjdę przed wieczorem do nich. Widziałem, że dziewczyna ucieszyła się tą wiadomością i pokraśniała jak wiśnia.

Obładowany wiszącymi na trokach dwoma kogutami, bo gajowy ofiarował mi swego, wyruszyłem wesół i rześki piechotą do dworu.

Błogosławiłem czajki, błędne ogniki i wyjące wilki, gdyż to one spowodowały mój pierwszy tryumf na tokowisku i moje poznanie się z piękną dziewczyną, z którą obiecywałem sobie poznać się bliżej na ciągu.

LEON STARKIEWICZ.



Płochliwość, czy instynkt samozachowawczy?

Nr. 10 (930) „Łowca Polskiego" podaje nam, między innemi, artykuł „O płochliwości zwierzyny" pióra p. Andrzeja Longchamps. Przedmiot to czysto z zakresu fizjologji zwierzęcej, dla obserwatora fauny nader interesujący i ważny, gdyż decyduje o ustosunkowaniu się zwierzyny do nas.

Ponieważ moje w tej materji obserwacje dotyczą przedewszystkiem poważnej zwierzyny w przeciwieństwie do Szan. Autora, a im więcej spostrzeżeń i zdań, tem bliżej prawdy staniemy, więc je tu częściowo przynajmniej podaję.

Ograniczam się tu do niedźwiedzi, jako do najsilniejszego fizycznie zwierza naszej fauny, a więc w danym wypadku najwięcej charakterystycznego, i wyjmuję ze swego pamiętnika myśliwskiego „Z Karpat", następujących kilka miarodajnych faktów, by przy końcu wysnuć z nich swe wnioski.

1. Niedźwiedź, wyrośnięty samiec, w Karpatach wschodnich, w Hryniawie nad B. Czeremoszem, w kotlinie „Srybnik", d. 27.IV.1907 r. warując w gąszczu tuż przy podłożonem padle, wypadł i odgonił leśnego, Nykołę Wołczuka, który podszedł zbyt

blisko, — a uczynił to tak gwałtownie, iż tenże mimo że nie nowiną mu było spotkanie z niedźwiedziem, gdyż miał ich kilka na sumieniu, uciekł co mu nóg starczyło, odprowadzany daleko przez rozwścieczonego zwierza.

Następnego dnia tenże niedźwiedź, jak poprzednio, ukryty w gąszczu, warował przy padle, podczas gdy ja niepostrzeżenie dostałem się na przygotowaną obok ambonę, maskowany akustycznie szmerem potoku, optycznie zaś gąszczem świerka; gdy doszło do jego uszu prztyknięcie złamanej tabliczki czekolady, w tej chwili wysunął łeb z gąszczy, ostro śledząc za przyczyną odgłosu tak długo, aż nagle dostawszy wiatr od zasiadki, znikł jak ułuda.

Dopiero po około dziesięciu godzinach zjawił się ponownie, ostrożnie podchodząc od przeciwnej strony; nie śmiał jednak podejść do samego wabia wstrzymany jakąś nieuchwytną obawą.

2. W końcu marca w Karpatach wschodnich w Sołotwinie mizuńskiej naprzeciw „Hłubokiego", niedźwiedzica pozostawiwszy w barłogu małego, poszła na żer. Chcąc matkę przywołać, rozdrażniłem malca do tego stopnia, że jego pseudo-szczekanie rozlegało się daleko po okolicznych gąszczach.

Po jakimś czasie stara odezwała się z głębi kniei; na dalszy apel malca szybko zaczęła się zbliżać, groźnie mrucząc i nie widząc nas ukrytych (samej podchodzącej stokiem wąwozu, tylko czub grzbietowego włosa było widać). Gdy była już nie dalej 40 kroków, dostała wiatr, i w nagłym zwrocie uszła dołem wąwozu, aby się więcej nie pokazać, rezygnując z potomstwa.

3. Tamże 4.IV.1909 r. w kotlinie „Sopoteja", wyrośnięty niedźwiedź schodził powoli starym zrębem ku łani, przymocowanej na dole na wabia. Jakie 150 kroków jeszcze oddalony, nagle dostał wiatr, prawdopodobnie od smarowanych tłuszczem, postołów leśnego. W tej chwili wykazał takie, ściśle następujące po sobie zachowanie się: rzucił się z powrotem do ucieczki galopem, nagle przypadł do ziemi przywarowując tak, że go widać nie było dłuższą chwilę, nagle stanął wyprostowany, na tylnych łapach i śledził w kierunku wabia, poczem rzucił się znowu do ucieczki galopem, by jeszcze raz cały proceder już daleko powtórzyć, poczem wycofał się z widowni.

4. Tamże, w niespełna pół godziny później, zaatakował mnie bezpośrednio, gruby niedźwiedź (mimo że ciężko postrzelony), wypadłszy z gąszcza tuż obok tego wabia, gdy zacząłem łanię obchodzić, zacierając dookoła wonne tropy leśnego.

5. W tejże Sołotwinie mizuńskiej chowałem w domu dwa niedźwiadki, opuszczone przez matkę (vide p. 2), jednego z nich przez półtora roku. Miałem więc dość sposobności do zaobserwowania, że tenże dostawszy wiatr, np. od zbliżających się chłopów, lub uperfumowanego pana, zdaleka już uciekał, często na drzewo, jeżeli miał je odpowiednio. Naodwrót, nie dawał sobie odebrać raz wziętego w posiadanie przedmiotu, chyba przemocą.

6. Tak samo pojmował posiadanie ogromny niedźwiedź zabity przezemnie w „Łopusznej" ad Jasień w Karpatach wschodnich w r. 1905. Napadł on po drugiej stronie Łomnicy w Perehińsku, pewnej nocy schronisko z bydłem rogatem; gdy obudzeni rykiem trzej dozorcy, wpadli tam i bydło zaczęli wyganiać, zabił dwóch z nich, trzeciego tylko dlatego zostawiając przy życiu, że sam wypadł do innej zagrody z owcami.

Na podstawie powyższych faktów wnioskuję:

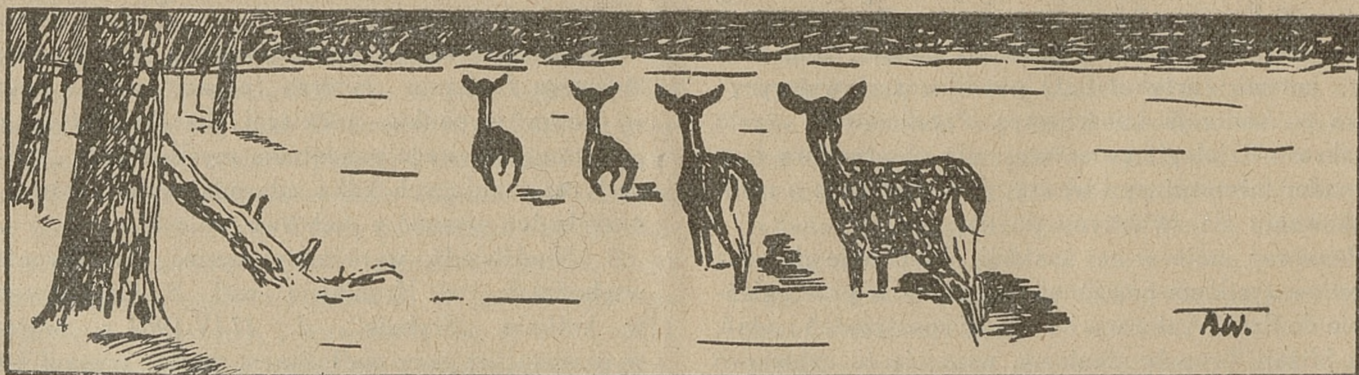
Bezpośrednie zetknięcie się z człowiekiem, wcale nie musi wywołać lęku u niedźwiedzia. Powyższe, zupełnie pewne dane wykazują, że niedźwiedź, o ile poczuje się dość silny w swem prawie dzierżenia, — nie ustępuje. Ma to jednak miejsce pod działaniem bezpośredniości zetknięcia. Jeżeli jednak wejdzie w grę działanie pośrednie, zapomocą zmysłu słuchu, a zwłaszcza powonienia, wtedy wyobraźnia, czy nazwiemy to atawistycznie odziedziczonym instynktem, personifikuje mu w tak silnej formie niebezpieczeństwo, a to uderzenie powonienia jest tak bezpośrednie, że wywołana niem, nieodporna bojaźń silniejsza może być nawet, niż instynkt macierzyński.

W wypadku wyżej pod 3) podanym, niedźwiedź dostawszy niebezpieczny, w jego pojęciu, wiatr, najwyraźniej poucza nas o swej przebiegłości, z jaką urządza wywabiającą ucieczkę, chcąc zmysłem wzroku zmierzyć to niebezpieczeństwo, które go ściga, a on ucieka przed niem.

Przypuszczam, że im zwierz dziki jest fizycznie słabszy, lub też im mniej z natury ofensywny względem drugich, tem więcej w spotkaniach z nim zanika w objawach i skutkach różnica, czy spotkanie było bezpośrednie, czy pośrednie — na rzecz tego ostatniego, — czyli poprostu, tem więcej boi się wszystkiego.

Dr. WŁADYSŁAW BURZYŃSKI

Perehińsko.



CHOROBY NASZEJ ZWIERZYNY ŁOWNEJ ORAZ SPOSOBY ICH ZWALCZANIA.

(Zob. Nr. 13).

10) Nicienie pasorzytujące w żołądku i jelitach.

W trawieńcu oraz czasami i w dwunastnicy sarn pasorzytuje oskrzelinek, Str. contortus, retortaeformis, convolutus, instabilis i filicollis. Larwy ich (Rhabdidis) dostają się do przewodów pokarmowych wraz z pokarmem. Robaki wdrążają się w błonę śluzową trawieńca, ssąc krew. Wydzielają one truciznę, która niszczy czerwone ciałka krwi. Występuje masowo, wywołując katar mniej lub więcej silny, oraz blednicę. Poranienia błony śluzowej pozwalają i tu osiedlać się łatwo bakterjom (dwubiegunowe). Zwalczać i zapobiedz można tak samo, jak przy zarazie płuc, przez odwadnianie miejsc podmokłych. W zwierzyńcach polecać można stosowanie środków przeciwrobaczych, które dodaje się do paszy.

W żołądku i jelitach jeleni pasorzytują Str. fillicollis Rud. i St. ventricosus. Dość pospolity jest w jelicie grubem sarn i danieli Sclerostomum hypostomum. Jest to robak biały, 10 — 20 cm. długi. Według niektórych autorów jest on zupełnie nieszkodliwy, inni uważają, że powoduje blednicę.

Badając jelito grube jeleni, spotkać można zgrubienia wielkości małego ziarnka grochu. Zawierają one masę białawo-zielonkawą. Stroese znalazł w nich pasorzyta t. zw. Ankylostomum bovis. Czy, i w jak wielkiej mierze szkodzi gospodarzowi, nie stwierdzono jeszcze.

Pod skórą jeleni znaleziono zgrubienia, w których żyje Filaria Flexuosa. Istnieją przypuszczenia, że embriony, dostawszy się do krwi przez owady (komary, kleszcze) przenoszone zostają do innego żywiciela.

Choroby wywołane przez członkonogi (Arthropoda).

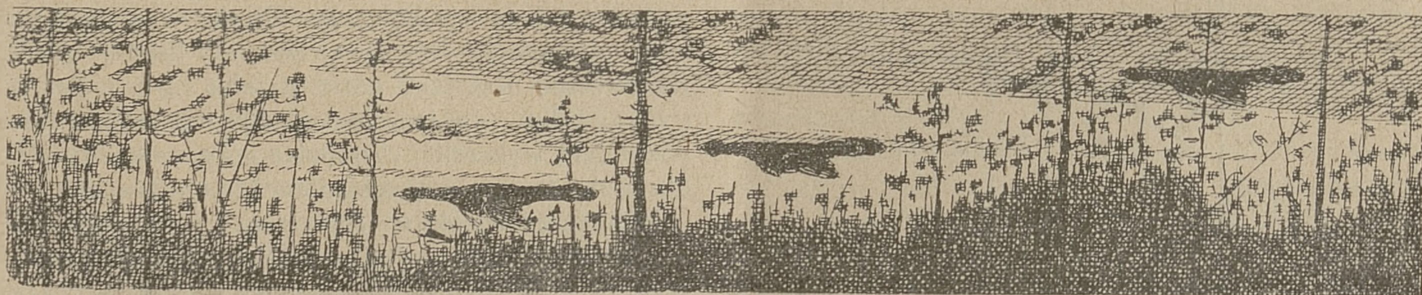
Pasorzyty z typu Arthropoda rozpadają się na gromadę: Pajęczaki (Arachnoidea) z podgromadą roztocze (Acarina) (kleszcze, świerzbowce i inne), i owady (Insekta) albo sześcionogi (Hexapoda), do których należą muchy i gzy. Pasorzyty — członkonogi pasorzytują albo jako owad doskonały na skórze, albo jako larwa w nosie, żołądku, jelitach lub pod skórą swego gospodarza.

11) Jelenie i sarny rzadko chorują na **parchy**, którą to chorobę wywołuje świerzbowiec z rodziny: Sarcoptes. Trujące jego wydzieliny powodują stan zapalny oraz przeszkadzają tworzeniu się pigmentów. Sierść wypada. Silne swędzenie zmusza zwierzę do ciągłego ocierania się o drzewa, skutkiem czego przeciera się skóra tak, że czasami nawet mięso wychodzi. Najsilniej opadają świerzbowce głowę oraz miejsca najmniej owłosione.

12) **Roztocze (Acarina)** należą do rodziny kleszczy (Ixodes). Najbardziej rozpowszechnionym pasorzytem z tej rodziny jest Ixodes ricinus, który się swemi silnemi narzędziami pyszczkowemi dostaje głęboko pod skórę, przeważnie pod spodem ciała oraz na wewnętrznej stronie bark. Samica po nassaniu się krwią dochodzi do wielkości orzecha laskowego. By skóra mogła się dostatecznie rozszerzać, posiada ona liczne fałdy. Skóra jest bardzo gruba, zwłaszcza u samca, skutkiem czego mało może się napić krwi. Kleszcze mogą dostać się na skórę zwierzyny, opuszczając się z krzaków. Daniele nawiedza kleszcz Haemophysalis punctata, którego czasem i spotkać można u zwierząt domowych. Czy kleszcz jest roznosicielem chorób, nie stwierdzono jeszcze. Kleszcz Ixodes reduvius jest rzadszy. Wielkość jego dochodzi po nassaniu się do wielkości tylko 5-milimetrowej. Chętnie przechodzi on na człowieka. **Wszy** z rodzaju Trichodectus nawiedzają często sarny i jelenie.

Inż. L. OSSOWSKI.

(D. c. n.).



Precyzja sztucerów myśliwskich.

Przed próbą rzucenia światła na to zagadnienie, które wielu amatorów broni kulowej interesuje w wysokim stopniu, pozwolę sobie ustalić pewne definicje, od których następnie zależeć będzie możność ścisłego porozumienia się z Czytelnikami:

1° **Precyzją mechaniczną** nazwiemy zdolność danej broni i danej amunicji do zapewnienia nam skupień pocisków czyli rozrzutów w idealnych warunkach, t. j. — bądź to przy ujęciu broni w odpowiednie imadło, bądź to w rękach doskonałego strzelca,

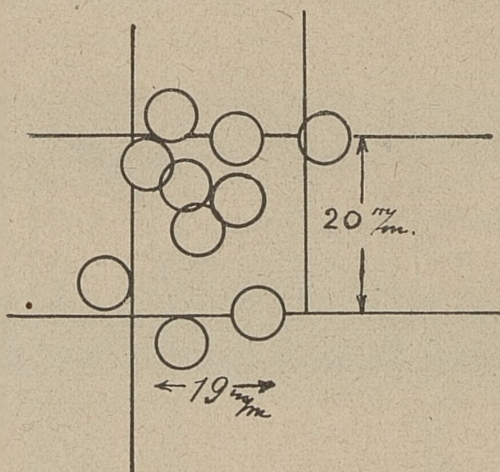
przy strzelaniu z oparciem, siedząc i z lunetą, która pozwala zmniejszyć znacznie błędy celowania. Jednem słowem precyzja mechaniczna jestto precyzja broni bez błędów strzelca.

2° **Precyzją praktyczną** nazywamy dokładność broni w normalnych warunkach użycia przez dobrego strzelca, uwzględniając jego prawdopodobne błędy w celowaniu, wpływ różnych postaw i t. p. Jestto więc precyzja mechaniczna, powiększona o błędy bardzo dobrego strzelca. O tej dziedzinie pomówimy w następnym artykule.

Zaznaczyliśmy poprzednio, że wielkość rozrzutu, a więc skupienia pocisków na celu, jest dla nas miernikiem precyzji broni. Ale jakich rozrzutów, i jak mierzonych?

Dla sztucerów myśliwskich, których używać bedziemy na różne odległości do 300 mtr., przywykliśmy badać rozrzuty na odległości 100 metrów, dlatego, że odległość ta, niezbyt duża, a więc łatwa do znalezienia tak samo na każdej strzelnicy jak i w terenie — na wsi, daje już zupełnie dostateczną miarę dla ocenienia zachowania się broni na dalszą metę: 200 i 300 m. Jestto typowa odległość dla próby broni kulowej, myśliwskiej; znając rozrzut na tej odległości, możemy drogą zwykłej proporcji arytmetycznej określić z wielkiem prawdopodobieństwem rozrzuty na odległości inne.

Dla otrzymania rozrzutów dajemy pewną ilość seryj 10 - strzałowych w warunkach takich, jakie określiliśmy pod punktem 1°, a więc z dobrej maszyny-imadła (są one rzadkością) lub przez bardzo dobrego strzelca, siedzącego za stołem i z bronią opartą na workach z piaskiem, celując stale w ten sam punkt tarczy. Jest przytem rzeczą bardzo ważną, aby nie pokazywać wyników między poszczególnymi strzałami, gdyż nawet najbardziej obojętny i bezstronny strzelec ma skłonność do „poprawiania" rozrzutu, a więc zmieniania punktu celu, a z chwilą gdy zaczyna się zmienianie punktu celowania, zatraca się prawdziwy obraz rozrzutu broni, skierowanej w jeden punkt.



Rys. 1. Wpisanie rozrzutu w prostokąt.

Po oddaniu w ten sposób 3 — 5 seryj do osobnych tarcz, bez czyszczenia pomiędzy serjami, przystępujemy do mierzenia i oceniania rozrzutów. Sposobów mierzenia są dziesiątki, niektóre z nich, wybitnie teoretyczne, mają na celu określenie średnich rozrzutów dla dużej ilości jednakowych broni: są to metody współrzędnych i „średniego promienia"; nie będziemy tu o nich wspominać. Zastosujemy metodę najprostszą — wpisania w prostokąt lub w koło.

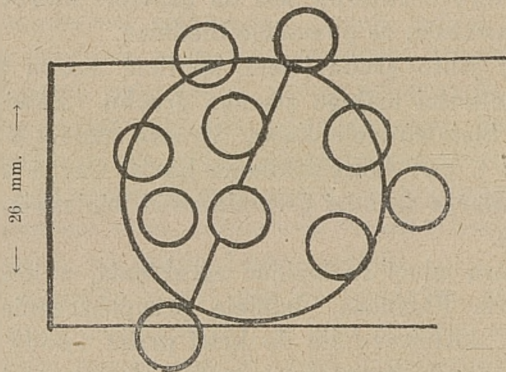
Wykreślamy prostokąt obejmujący cały rozrzut, w ten sposób, że jeden bok prostokąta stanowi największy wymiar pionowy rozrzutu, drugi — największy wymiar poziomy.

Mając kilka rozrzutów, sumujemy najpierw boki pionowe, następnie poziome, i wyprowadzamy średnie — jako wymiary średniego prostokąta. **Naprzykład:** otrzymujemy 3 rozrzuty:

5 ×	4 cm.
7 ×	4 „
6 ×	3,5 „
18 ×	11,5 „
(:3) ×	(:3)

Średni prostokąt ma: 6 × 3,8 cm.

Tak samo postępujemy w razie wpisania w koło: średnicą koła jest odległość między najdalszemi przestrzelinami, wyciągamy średnią arytmetyczną z otrzymanych średnic i oznaczamy przez to przeciętną średnią rozrzutu.



Rys. 2. Wpisanie w koło.

Przy takich próbach — zdarza się częstokroć, iż jeden strzał jest wyraźnie odchylony i psuje cały rozrzut. Nie należy jednak nie włączać go do prostokąta. Odrzucamy go jedynie w tym wypadku, gdy strzelający wyraźnie twierdzi, natychmiast po strzale, że popełnił mimowolny błąd w takim lub innym kierunku. Trzeba wtedy posłać kogoś do tarczy aby sprawdzić, czy błędny strzał rzeczywiście jest tam, gdzie strzelec go melduje, i wtedy tylko — w imię sprawiedliwości prób, wolno strzał taki wykreślić, zastępując go strzałem 11-ym, dla zachowania miary rozrzutów 10-strzałowych.

Mierzenie wyników rozrzutem 5 - strzałowym nie jest miarodajne, jestto próba niedostatecznie gruntowna. Rachunek prawdopodobieństwa wykaże bowiem, że łatwo zdarzyć się może, iż 5 strzałów rozmieści się w prostokącie o połowę mniejszym od tego, który zamknie rozrzut 10 - strzałowy. My zaś, zwłaszcza dla broni myśliwskiej, chcemy mieć **średnią szansę trafienia** dla każdego strzału, ponieważ do zwierzyny nie robimy rozrzutów (jak w broni tarczowej) lecz pojedyńcze strzały.

Zanim przejdziemy do próby ujęcia tych niezmiernie subtelnych i ulotnych czynników, które decydują o precyzji broni, podajmy dla przykładu parę cyfr

o możliwości broni pod względem precyzji, przyczem podajemy wymiar rozrzutów nie przypadkowych, z jednej serji 5-cio strzałowej, lecz takich, na które możemy zawsze liczyć, na odległości 100 mtr.

Rodzaj broni i amunicji	Wymiar średnicy rozrzutu
1º Najcięższe i najlepsze karabiny tarczowe, do udoskonalonych naboi typu wojskowego (Springfield '30, szwajcarski 7 mm. itp.).	20-25 mm.
2º Najlepsze karabiny tarczowe i małokalibrowe ('22 Long rifle) po dobraniu odpowiedniej amunicji.	25-50 mm.
3º Najlepsze sztucery myśliwskie, magazynowe lub jednostrzałowe, przy niektórych najprecyzyjniejszych nabojach: Schönauer 6,5 mm., Mauser 6,5 x 55, Winchester 25 x 35, Springfield .30.	50-70 mm.
4º Większość bardzo dobrych sztucerów, mniej „dobranych" pod wzgledem amunicji: (Sztucer normalny).	70-120 mm.

Cyfry powyższe, jak już zaznaczyliśmy, są „średnie". Ma to znaczyć, że chociaż niejedna firma rusznikarska podaje w ogłoszeniach rozrzuty 100-metrowe z 10-ciu strzałów znacznie mniejsze, są to jednak rozrzuty z jednej tylko serji, gdyby zaś próbować więcej seryj, otrzymamy dość znaczne powiększenie wymiarów. Rozrzuty reklamowe są przeważnie zupełnie uczciwe, rzeczywiście strzelane na danej odległości i t. p., ale **wybrane** jako najlepsze z pomiędzy wielu, a więc niezbyt miarodajne.

(Dok. n.). J. PODOSKI.

LIST DO REDAKCJI.

W Kalendarzu Myśliwskim na r. b. p. nadleśniczy Metzig radzi oszczędzać stare kury i koguty. Ja osobiście z doświadczenia i blisko czterdziestoletniej praktyki doszedłem do wniosku, że kuropatwy — kury oszczędzać trzeba, o ile tylko można, ponieważ starsza kura więcej znosi jaj, praktyczniejsza jest w wynalezieniu miejsca na gniazdo, w wychowie młodych i t. d. Kogut zaś stary na wiosnę nie pozwala innej parce w bliskości swego gniazda zakładać innego, — bije, tłucze i odpędza. Młody zaś kogut jednoroczny, zajęty tylko swoją kurą, pozwala o kilka kroków innej parce założyć gniazdo. I jak są młode koguty, to w jednym polu, lub zagajniku, lub remizie wylęga się dużo stad, co przy starych kogutach nie zdarza się. Polując na kuropatwy z wyżłem, przy dobrych chęciach i wzroku, bardzo łatwo można odróżnić starego koguta, a mianowicie: kogut zrywa się pierwszy bardzo często i zawsze z boku, czasami zaś ostatni; kura zawsze jest otoczona młodemi; kogut, jak wiadomo, ma wyraźną podkowę, a z wierzchu jest czerwonojasny; kura zaś stara ma kilka piórek na piersiach ciemnych, a z wierzchu jest pstra. Ja w swojej praktyce doszedłem do takiej wprawy w rozpoznawaniu kogutów, że młodsi koledzy myśliwi zakładali się ze mną — i zakłady zawsze wygrywałem.

Co do puszczania żywych kuropatw, także nie wszyscy myśliwi wiedzą, że trzeba puszczać z klatki w cichem miejscu, aby wyszły „na piechotę" i nad wieczorem. Kury puszczone z ręki i rano, pójdą kilka i kilkanaście kilometrów i są stracone dla hodowcy. Puszczone z klatki na piechotę kuropatwy, przenocują w pobliżu i zostaną na zawsze.

Tak samo puszczać się powinno i bażanty.

Zające zaś puszcza się tylko rano w zagajniki; zając zasiądzie tam, przez dzień rozpatrzy się i przyzwyczai. Puszczony zaś wieczorem zając, przez całą noc może przejść kilkadziesiąt kilometrów. Najpraktyczniej jest puszczać tylko młode zajączki; te wszystkie zostaną na miejscu, nigdzie daleko nie pójdą.

STARY HODOWCA I MYŚLIWY.



Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

POSIEDZENIE WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO w dniu 24 kwietnia 1930 r.

Obecni na posiedzeniu pp.: przewodniczący W. Szperling, dyr. B. Gędziorowski, W. Kiltynowicz, inż. H. Knothe, mec. A. Tallen — Wilczewski, oraz sekretarze: J. Bokiewicz i K. Kamieński.

Usprawiedliwili nieobecność pp.: prez. St. Lilpop, inż. L. Skulski, mec. W. Garczyński, Wł. Słonczyński i inż. K. Tołłoczko.

Przyjęto do zatwierdzającej wiadomości protokuł posiedzenia Wydziału z dnia 8 kwietnia.

Wydział Wykonawczy, po zbadaniu u źródła sprawy zabicia niedźwiedzia na Polesiu, postanowił umieścić w „Łowcu Polskim" wzmiankę, wyjaśniającą niesłuszność podniesionych przez prasę codzienną w ostatnich kilku tygodniach, zarzutów, jakoby miał miejsce fakt przekroczenia prawa łowieckiego. Niedźwiedź bowiem zabity został na podstawie legalnego zezwolenia wojewody poleskiego.

Przyjęto i postanowiono ogłosić w „Łowcu Polskim" kandydatury na delegatów Związku w pow. Luboml, oraz rezygnację z mandatów w pow. Podhajce, p. K. Gołębskiego.

Postanowiono wystosować powtórny list do Wielkopolskiego Związku Myśliwych z prośbą o podanie kandydatur na delegatów Związku w nieobsadzo-

nych dotąd powiatach województw Poznańskiego i Pomorskiego.

Odnośnie Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Lipsku, po wysłuchaniu sprawozdania p. dyr. Gędziorowskiego z biegu prac przygotowawczych, Wydział Wykonawczy postanowił, w myśl wniosku W. Z. M. wycofać udział łowiectwa polskiego z tej wystawy, wobec szeregu poważnych zmian w polityce gospodarczej polsko - niemieckiej i wobec niedostatecznego poparcia finansowego ze strony władz państwowych.

Wydział załatwił nadto szereg spraw bieżących pomniejszej wagi.

Przewodniczący: (—) W. SZPERLING.

Sekretarz: (—) J. BOKIEWICZ.

WYSTAWA PSÓW RASOWYCH W WARSZAWIE.

Polski Związek Hodowców Psów Rasowych przy Centr. Komitecie do Spraw Hodowli Drobiu w Polsce z siedzibą w Warszawie, wspólnie z Towarzystwem Hodowli Psów Myśliwskich, urządzają w dn. 24 — 27 maja r. b., wystawę psów rasowych: myśliwskich, obronnych i pokojowych.

Wystawa powyższa ma na celu dokonanie przeglądu psów rasowych przez najwybitniejszych kinologów w Polsce i zaznajomienia szerokich warstw z postępami w tej dziedzinie.

Jako nagrody dla wystawców przeznaczono: dyplomy honorowe, medale złote, srebrne i bronzowe, oraz listy pochwalne. Nadto będą wydawane cenne nagrody pamiątkowe, ofiarowane przez różne organizacje i poszczególne osoby, którym leży na sercu sprawa podniesienia hodowli psów w Polsce.

W celu ułatwienia przeglądu psów poszczególnych ras i skrócenia czasu przebywania psów na wystawie, będzie wprowadzona pewna inowacja na wzór zagranicznych, mianowicie w dn. 24 i 25 maja będzie wystawa wyłącznie psów myśliwskich wszystkich ras, a 26 i 27 maja psów obronnych i pokojowych.

Aby zawczasu zorjentować się w ilości zgłoszeń, Komitet Wystawy uprasza o nadsyłanie zapełnionych deklaracyj do dn. 15 maja r. b. do Komitetu Wystawy według wymienionego niżej adresu.

Biuro Komitetu Wystawy mieści się w Warszawie, przy ul. Kopernika 30, tel. 201-38.

Wystawa obejmować będzie następujące działy:

Dn. 24 i 25/V — I) Psy myśliwskie: a) Wyżły, b) Ogary, c) Charty, d) Jamniki, e) Spaniele, f) Foksterjery i inne.

Dn. 26 i 27/V — II) Psy od stróżowania i obrony: a) Owczarki, b) Airedalle Terjery, c) Dobermany, d) Bernardy, e) Wodołazy, f) Dogi i inne.

Psy pokojowe: a) Pudle, Buldogi, b) Ratlery, c) Szpice, d) Chin-Chiny, e) Grifony Brukselskie i inne.

Nadto przez cały czas wystawy będą wystawione:

Przybory do hodowli i tresury psów, oraz modele urządzeń psiarni.

Pokarm i środki lecznicze.

Literatura, fotografje, tablice etc.

Atrakcje: a) popisy psów, b) rewja psów nagrodzonych i t. d.

Warunki i przepisy dla wystawców:

1) Zgłoszenia na udział w Wystawie należy nadsyłać najpóźniej do 17 maja 1930 r. włącznie do Biura Wyst. Psów Rasow., Warszawa, Kopernika 30. Zgłaszający winni nadesłać dwa egzemplarze deklaracji, z których jedną zatrzymuje Komitet Wystawy, a drugą, w razie warunkowego przyjęcia zgłoszenia, przesyła wystawcy.

2) Jednocześnie z deklaracjami należy przesłać opłatę za miejsce na Wystawie, na rachunek czekowy Centralnego Komitetu Hodowli Drobiu w Polsce (dla Związku Hodowców Psów Rasowych w Warszawie, w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 6.054).

3) Eksponaty, zgłoszone i przyjęte warunkowo, winny być dostarczone na Wystawę o godz. 16-ej dn. 23 maja — psy myśliwskie i w dn. 26 maja (o godz. 8 rano) inne, pod adresem wskazanym przez Komitet Wystawy w zawiadomieniu o przyjęciu. Dostarczone eksponaty klasyfikuje Komisja Kwalifikacyjna, po zbadaniu przez lekarza weterynarji. Eksponaty niezgłoszone do 17 maja r. b., o ile będzie wolne miejsce, mogą być przyjęte. O ile eksponat nie zostanie zakwalifikowany na wystawę, zwraca się opłatę, przesłaną przy deklaracji.

4) Eksponat winien być zupełnie zdrowy, czysty, wolny od pasorzytów, zaopatrzony w mocną obrożę ze sprzączką (zaciągana obroża niedopuszczalna). Suki grzejące się i widocznie ciężarne, jak również szczenięta bez matek, przyjmowane nie będą.

5) Psy powyżej dwudziestu miesięcy zapisywane będą do klasy otwartej, okazy młodsze od 8-iu do 18 miesięcy, do klasy młodzieży. Psy ponad 10 miesięcy mogą być na żądanie wystawcy zgłaszane do obu klas. Nadto psy uprzednio nagradzane mogą być zadeklarowane do klasy: a) zwycięzców polowych i b) zwycięzców wystawowych. Eksponaty z rodowodami Pol. Związku Hodowców Psów Rasowych, lub innego Związku, uznane przez Zarząd Pol. Zw. Hod. Psów Ras., lub Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich, mają pierwszeństwo przy nagradzaniu, przed okazami niezapisanymi do księgi rodowej Pol. Związku.

6) Psy gryzące, muszą mieć kaganiec i własną obsługę. Za ukąszenie odpowiada właściciel eksponatu. Psy złe będą umieszczone za siatką.

7) Karmione i obsługiwane będą eksponaty stosownie do zadeklarowania. Komitet karmi tylko psy pozamiejscowe.

8) Psy tchórzliwe i dzikie, winny być jako takie zadeklarowane.

Odprowadzanie psów na Wystawę musi być punktualne, t. j. do godz. 9 rano, pod groźbą utraty kaucji.

9) Opłaty wynoszą: za wystawienie psa 10 zł. od psów członków Związku i 15 zł. od niezrzeszonych. Za udział w klasie następnej dopłaca się 5 zł. Za prawo zabierania psa na noc pobiera się kaucję zwrotną w sumie 25 zł. Za żywienie psów zamiejscowych pobiera się 1 zł. dziennie.

10) Miejsce i godziny spaceru i wypróżniania psów muszą być przestrzegane. W razie zanieczyszczenia terenu Wystawy w obrębie ruchu publiczności, płaci właściciel eksponatu karę każdorazowo w wysokości 3 zł.

11) Informacyj wystawcom udzielają Członkowie Komitetu Wystawy, zaopatrzeni w specjalne odznaki.

12) Wystawcy obowiązani są przestrzegać przepisy Komitetu Wystawy i stosować się do wskazówek Członków Komitetu. Każdy wystawca ma prawo do otrzymania jednego biletu wejścia na Wystawę bezpłatnie, a o ile żąda więcej biletów, płaci normalne ceny.

Ocena eksponatów przez sędziów nie podlega zmianie. Dowód na przyznanie nagrody otrzymują wystawcy następnego dnia, po ekspertyzie.

Uwaga: W razie potrzeby, Komitet Wystawy ma prawo nakazać natychmiastowe usunięcie eksponatu z Wystawy, i z tytułu tej decyzji, wystawca nie może mieć żadnych pretensyj do Komitetu. Sprzedaż eksponatów musi być rejestrowana w biurze Wystawy, które pobiera od sprzedawcy i kupującego po 5% od ceny sprzedanych eksponatów. Przed zamknięciem Wystawy, eksponatów zabierać nie wolno. Usunęcie eksponatów z Wystawy musi nastąpić nieodzownie po skończeniu wystawy (psów myśliwskich 25 maja wieczorem), innych — 27 maja wieczorem.

KOMITET WYSTAWY.

ŚLĄSKIE TOWARZYSTWO ŁOWIECKIE.

Walne zebranie, odbyte dn. 4.IV r. b. uchwaliło:

Poprzeć inicjatywę członków Grzesika i Ogórka co do utworzenia w Rybniku Kółka Myśliwskiego, którego członkowie muszą jednak być członkami zwyczajnymi Śląskiego Towarzystwa; dla ustalenia szczegółów wydelegowano do Rybnika członków: Podgórnego, Mędlewskiego i Malinowskiego.

Zwrócić się do członków z apelem możliwie najwydatniejszego poparcia urządzanej w Cieszynie Wystawy Łowieckiej.

Wybrać jednogłośnie do zarządu członków: Podgórnego, Pszonkę i Gottwalda.

Wybrać delegatów na powiaty: **Rybnik:** Pawełec, Malinowski i Rowiński, **Pszczyna:** Koždon i Obręba, **Katowice:** Mędlewski i Herde, **Tarnowskie Góry:** Potyka i Grzyb, **Lubliniec:** Willert i Berndt oraz **Świętochłowice:** Jerzy Vogt.

Wydać 1150 zł. jako 29 premij w wysokości 25 — 200 zł. za skuteczne tępienie kłusownictwa. Do dyspozycji zarządu oddano na ten cel 3000 zł.

Utworzyć trwałą fundację im. ś. p. Palacza i na ten cel przekazać 2000 zł. do Miejskiej Kasy Oszczędności w Katowicach. Kwota ta będzie rokrocznie dodatkowo powiększana, a odsetki używane na alimentacje wdów i sierot po padłych na polu zwalczania kłusownictwa.

Nadać paragrafowi 5 brzmienie: Członkowie zwyczajni płacą jednorazowo wpisowe w wysokości 5 zł. i miesięczną składkę w wysokości 1.50 zł. Składka miesięczna urzędników leśnych od leśniczego wdół, wynosi 0.50 zł.

Zorganizować w sierpniu lub wrześniu 1930 r. wycieczkę na Międzynarodową Wystawę Łowiecką w Lipsku. Przewidziane są różne udogodnienia, tak, że koszta będą — zwłaszcza w większej grupie — umiarkowane. Zgłoszenia należy nadsyłać pod adresem: Dr. Jan Podgórny, Katowice, Okr. Urz. Ziemski, w terminie do 1 lipca 1930 r.

Odtąd na posiedzenia zarządu będą zapraszani delegaci powiatowi. Uprasza się o żywsze interesowanie się sprawami Towarzystwa, pomoc i współpracę, regulowanie składek i t. p.

Prezes: WACŁAW PASZKOWSKI.
Sekretarz: Dr. JAN PODGÓRNY.



— **Egzema wśród foksterjerów.** — Foksterjery Inspekcji handlowej w Warszawie, które przyczyniły się do wytępienia tylu szczurów w halach targowych, zaraziły się podczas ostatniej kampanji egzemą. Są one obecnie pod opieką weterynarzy, którzy robią mało nadziei na wyleczenie psów. O ile to się nie uda, foksterjery będą zgładzone.

— **Wartość futer.** — Zająca europejskiego futerko jest bezwartościowe, a tylko sam włos używany bywa na filc. Północno-syberyjski zając polarny daje ładne, w zimie śnieżnobiałe futerko, częściowo idące w stanie naturalnym na imitację białych lisów, częściowo farbowane na różne kolory.

Wiewiórka syberyjska, o popielatem futerku z białem podbrzuszem, jest bardzo liczna. Skórki noszą w handlu nazwę „popielic" i są zwykle do przeróbki przecinane w ten sposób, że czysto popielate, cenniejsze grzbiety, przerabia się osobno, a białe podbrzusza, z popielatymi skrawkami boków, mniej wartościowe, osobno. Specjalny towar stanowią ogonki sprzedawane na wagę i używane częściowo do ozdoby futrzanych okryć damskich, częściowo do wyrobu pendzli.

Szynszyli futerko ma barwę stalowo - szarą, o cieniuchnym, jak jedwab, włosie, najdelikatniejszym ze wszystkich włosów zwierzęcych. Futerko jest prześliczne, ale bardzo nietrwałe. Rozróżnia się trzy odmiany szynszyli· 1) Szynszyla prawdziwa. Skórka około 25 cm. długa, nie licząc ogona. Włos nadzwyczaj miękki, 2 — 3 cm. długi, u pyszczka długie, białe wąsy. Najpiękniejsze skórki przychodzą z Peru, gorsze z Boliwji. 2) Szynszyla bastard. Skórka mniejsza około 15 cm. długa, nie licząc ogona. Włos krótszy i mniej delikatny. 3) Szynszylona. Skórka około 30 — 35 cm. długa, nie licząc ogona. Włos długi, ale mniej delikatny, niż u szynszyli prawdziwej, barwy nieco wpadającej w żółtawą. U pyszczka czarne wąsy.

— **Niebezpieczeństwo sadła borsuczego.** Borsukom u nas grozi zagłada nietylko z powodu

kłusownictwa wogóle, lecz także ze względu na rozpowszechniony u nas przesąd skuteczności leczniczej sadła borsuczego. Zwrócił na to uwagę specjalnie w „Ochronie Przyrody" inż. Zdzisław Ślósarz, omawiając lokalne stosunki w Krakowskiem. Uwagi te jednak częściowo mają charakter ogólnokrajowy. Przesąd wspomniany opiewa, że sadło borsucze, t. zw. „tłuste" jest cudownym lekiem na wszelkie słabości. Dlatego sadło borsucze jest poszukiwane i osięga bardzo wysokie ceny. Duże borsuki sprzedają chłopi do aptek w cenie 40 — 50 zł. za sztukę. Z takiego borsuka można wytopić do 4 litrów tłuszczu. Chłopi, szczęśliwi posiadacze ubitego borsuka, sprzedają tłuszcz ten po cenie ½ — 1 zł. **za kieliszek.** Naturalnie wartość ubitego zwierza urasta w drobnej sprzedaży do niesłychanie wysokich sum i stanowi silną pokusę dla włościan do zabijania borsuków.

W powiecie chrzanowskim wyróżnia lud dwie odmiany borsuka, czyli, jak tu mówią, „borcucha". Ma być więc borsuk „psi" i borsuk „świński". Różnią się podobno tem, że „psi" ma pysk zbliżony wyglądem do psiego, u „świńskiego" zaś pysk jest wydłużony w długi ryjek. Pozatem borsuk „świński" ma być tłuściejszy i jest dlatego bardzo poszukiwany.

Niewątpliwie zabijanie borsuka dla tłuszczu, istniejące od wieków, jest też pewnego rodzaju selekcją (tym razem borsuka), ale dzisiaj, wobec rozpowszechnienia broni palnej, kłusownictwa i wysokich cen, zwierzowi temu grozi zagłada.

Autor rozważywszy przepisy nowego prawa łowieckiego, dochodzi do wniosku takiego:

Właściciele polowań powinni we własnym interesie zająć się bliżej losem borsuka i nie pozwolić na jego tępienie. Tymczasem co się dzieje? Jeżeli uprawnionym do polowania jest włościanin, to osobiście i z zamiłowania strzela przedewszystkiem borsuki. Jeżeli polowanie należy do większej własności ziemskiej, wtedy zostawia się zwykle polowanie na borsuki straży leśnej lub polowej bez ograniczeń, a ta wybija borsuki dla zysku, wcale się z tem nie kryjąc. A ileż borsuków ginie z rąk nieuprawnionych do polowania, czy to będzie kłusownik zawodowy, czy też włościanin, któremu do sadu zabłąkał się borsuk?

— **Wielka Wystawa Psów w Londynie.** — Z okazji Światowego Kongresu Hodowców Drobiu i Światowej Wystawy Drobiu, która ma się odbyć w Londynie, poczynając od dn. 21 lipca r. b., odbędzie się również wielka wystawa psów, która będzie jedną z atrakcyj dla zwiedzających Londyn.

— **Wystawa myśliwska w Rydze.** — Na dz. 10, 11 i 12 maja wyznaczono w Rydze termin wystawy myśliwskiej i psów. Na wystawie będzie broń, przybory myśliwskie, zwierzyna, odzież myśliwska, namioty, łodzie, narty, konserwy żywnościowe, wypchane zwierzęta, literatura, statystyka. Zwierzęta przed przyjęciem na wystawę, podlegają kontroli weterynaryjnej. Opłata wynosi: od psa 3 Ls., za metr kwadratowy 6 do 10 Ls.

Sprostowanie. Podpis pod ilustracją na czele N-ru 17 należy uzupełnić: „Fot. Aleks. Janta-Połczyński".

Pod ilustracją na str. 337 w tymże numerze, powinien być podpis: „Fot. Adam Kierski z Bydgoszczy".

Wiadomości handlowe.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobode czynienia z nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji **z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.“:**

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Juljana Ejsmonda: „Moje przygody łowieckie“ — 14,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr“ — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim“** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy“—3,00 zł. 2) „Polująca Pani“—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa“ — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie“ — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego“. — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego“ 25% rabatu). **„Skowronek“** — 3.60 zł. **„Kruk“** — 4.50 zł. **„Słonka“** — 4 zł.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.
Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy.



Jaja na twardo.

Podróżnik. — Nie masz pan pojęcia, jakie upały mieliśmy w czasie podróży przez Saharę; dość powiedzieć, że kury niosą tam jaja „na twardo“.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.